

TERROREM I RADYKALIZM, ROZBICIE
CZYLI WSZYSTKO CO NAM ZAGRAŻA

GLOBALNA

لا إله إلا الله

رسول الله
محمد

GRA

OPRACOWANIE ANALITYCZNE

FILIP DĄB-MIROWSKI

Wstęp. Koniec epoki pokoju

To był pogodny marzec. Tego roku wiosna zawitała do nas wyjątkowo wcześnie, niosąc ze sobą energię i chęć do życia. Ledwie kilka tygodni wcześniej drżałem, ale nie z zimna, tylko oglądając makabryczne zdjęcia ze skąpanego we krwi kijowskiego Majdanu. Kto wtedy mógł pomyśleć, że tak to wszystko się skończy? Ale teraz, w pierwszych podmuchach ciepłego wiatru, musiałem się zmierzyć z niewyobrażalnym wcześniej pytaniem. Czy to możliwe aby po świętach wielkanocnych 2014 roku Ukraina przestała istnieć? Przecież znałem wielu Ukraińców. Jak to możliwe żeby ot tak, jutro stali się obywatelami Federacji Rosyjskiej albo jakiejś mafijnej republiki?

Państwo większe od Polski, ludniejsze, leżące w bezpośredniej bliskości, zniknie. Podzielone na kawałki, zjedzone przez agresora na oczach całego świata. Niczym poświęcone wielkanocne jajeczko. Świat wstrzymał oddech, to jedna z tych chwil, o których podręczniki historii wspominają pogrubioną kursywą. Rosyjskie wojska stoją na granicach, Specnaz operuje we wschodnich obwodach wzniesając powstanie przeciwko faszystowskiemu wrogowi, który nawet nie istnieje. Kłamstwa i propaganda rosyjskich mediów godne Goebbelsa. Unia sypie sankcjami, a wojska NATO przemieszczają się bliżej wschodnich rubieży. Rezerwiści wypatrują kart powołania. A miało być tak miło, wieczny pokój i dobrobyt.

Co do tego doprowadziło? Ale przecież znałem odpowiedź. Mam wystarczająco dużo lat by pamiętać jak państwo przestaje funkcjonować, a korupcja pożera wszystko, jak jedyną możliwością przeżycia jest kombinowanie. Powodów było bardzo wiele jak to zazwyczaj bywa w systemach dysfunkcyjnych, ale przyczyna musiała być jedna - postawa ukraińskich obywateli.

Ich wybory i działania (lub brak takowych), brak świadomości politycznej i brak zrozumienia geopolityki. Coś, co ich społeczeństwo odróżnia od naszego. Przymykanie oczu na korupcję, tolerowanie niesłowności i niekompetencji polityków. Erozja relacji społecznych, postaw obywatelskich. Brak wiedzy historycznej i kultywowania własnej tożsamości. Oczywiście, zawdzięczają to komunistycznej władzy, wieloletniej polityce wynaradawiania i zakłamywania. A start z poziomu „sowietów” to spora droga do przejścia i praca do wykonania. Tak by w krótkim czasie dwudziestu lat, dojść do pełnej świadomości i wykształcenia społeczeństwa obywatelskiego. Niektórym demoludom się to udało, innym nie.

Niemniej i u nas (a zwłaszcza w pokoleniu, które komunizmu zupełnie nie pamięta i nigdy nie widziało) popularna jest przecież postawa pt: „*polityka? mnie to nie dotyczy, nie interesuje się*”. A przecież wszystko, każdy aspekt życia w społeczeństwie ma w sobie „*politykę*”. Od wspólnoty mieszkaniowej czy spółdzielni w bloku, przez radę osiedla, dzielnicy, miasta, województwa, aż po kraj. Taka sama gradacja tyczy się też pojęcia *patriotyzmu*, a ten jest przecież także dbaniem o dobro wspólnoty, w której się żyje i miejsca, w którym się mieszka (pomijając pozostałe aspekty, jak język, tradycja, kultura etc.). To, że ktoś nie interesuje się polityką, nie znaczy, że nie ma ona bezpośredniego wpływu na całe jej czy jego życie. Aż ciarki przeszły mi po plecach na taką konstatację. A co gdybyśmy to byli my, a nie oni? Polityka określa wszystko.

Od zarobków, przez opiekę zdrowotną, komunikację miejską, bezpieczeństwo, aborcję, kochane podatki, aż po tak drobne sprawy jak psie kupy na trawnikach. Te ostatnie wykorzystam do poprowadzenia analogii.

Hipotetyczny obywatel myśli: „Niby każdy powinien po swoim pupilu sprzątać, ale w zasadzie - skoro mandatów nikt za to nie daje, to po co? Rodzice mnie nie nauczyli, w szkole też nie, w telewizji też nikt nie mówił, no to nie sprzątnę.”

Takich jak on, jest wielu, w zasadzie coraz więcej. W końcu któregoś dnia beztroski obywatel idzie sobie chodnikiem i nagle, chlast, ślizga się i leży jak długi cały w psiej kace. I w tym fekalnym piekle nagle stwierdza: w mordę! trzeba było jednak sprzątać! Ale jest za późno, bo już leży na ziemi po uszy w gnoju. Tak jest właśnie z Ukrainą... no prawie.

Bo czy to Ukraińcy sami są sobie winni? Oczywiście, że nie. Mogą i zresztą mają do siebie pretensję o zmarnowanie „pomarańczowej rewolucji”, ale to nie oni są agresorami tylko Federacja Rosyjska. Kraj, który mentalnie nigdy nie wyszedł z barbarzyństwa, niezależnie od tego jak wiele pudru nałożył Putin na swoje rumiane od syberyjskich nocy policzki i jak bardzo europejskie salony chciały sobie wmówić, że z jego strony nic nam nie grozi. Żeby użyć 'psiej' analogii, Rosja to taki brutalny i pijący sąsiad, który namawia, by nie sprzątać po psie, ale sam ma firmę sprzątającą trawniki. A poza tym jest utajonym kociarzem, a wszystkie psy by najchętniej uśpił, co zresztą robi wydając nakaz zaraz po tym jak w sfałszowanych wyborach zostaje radnym.

Dobra, ale rozpisywanie się jest zbędne, skoro wydarzenia ostatnich kilku lat są nadal żywe w naszej pamięci. Wypada tylko powiedzieć, że pierwsze sygnały alarmowe podniosły się w 2008 roku po inwazji na Gruzję. Jeszcze wtedy, wielu łądziło się (sam niżej podpisany autor miał podobne nadzieje), że Putinowi wystarczy tych kilka wydartych skrawków. Minęło jednak kilka lat i dzisiaj już wiadomo, że czas ten upłynął na dalszych knowaniach, szpiegowaniu, korumpowaniu, planowanej destabilizacji sąsiednich państw i

wreszcie zbrojeniach. Wydarzenia na Krymie pokazały, że zaczęła się rozgrywka, która zmieni losy świata, ale mimo to w Europie nadal okłamywano się, że niedźwiedź już więcej niczego nie pożre. Tak jak ponad 70 lat wcześniej elity wmawiały sobie, że Anschluss Austrii to nic, a już na pewno Hitler nie pójdzie dalej niż za Sudety. Poszedł, rozbił Czechosłowację na dwa kraje, tak jak tamtej pogodnej wiosny 2014 roku Putin zrobił z Ukrainą.



Ukraiński czołg podczas wojny w Donbasie¹.

Nagle okazało się, że od wojny nie da się uciec. Dzisiaj jest podobnie. Nie chodzi o to by wzywać na barykady, namawiać do poświęceń. Niech każdy robi co uważa za zgodne z sumieniem, interesem, sercem, rozumem. Pora jednak uświadomić sobie jak ważne jest by mieć otwarte oczy, by się interesować, by brać udział w tym co się dzieje wokół nas każdego dnia. Po to, aby kiedyś nie wyjść rano na ulicę i nie spotkać „zielonych ludzików” z bronią, mówiących w obcym języku. Trzymajmy kciuki za Ukrainę, a później Mołdawię, państwa bałtyckie i pamiętajmy do czego prowadzi ignorancja.

Nic nigdy nie jest dane na zawsze, ani niepodległość, ani dobrobyt, ani jak widać pokój w Europie. Ale przecież świat nie zaczął się zmieniać wtedy, na płonącej Ukrainie. Fundamenty globalnego porządku nie upadły gdy nad Symferopolem załopotąła rosyjska flaga, ani gdy sześć lat wcześniej żołdaci przekraczali gruzińską granicę. Więc kiedy?

Rozdział I. Nadejście superterroryzmu

11/13. Te dwie liczby symbolizujące datę 13 listopada 2015 roku przejdą do historii, tak samo jak stało się z „9/11”² po zamachu w Nowym Jorku 11 września 2001 roku. Zdawałoby się, że to tylko taka tragiczna, ale powierzchowna analogia - nic bardziej mylnego. Listopadowe ataki w Paryżu to ten sam, długi ciąg zdarzeń, który ostatecznie zamknął epokę wolnej i tolerancyjnej Europy, jaką znaliśmy.

Co się stało z naszym światem? Co się stało z Europą?

Problem jest złożony, to i odpowiedź nie może być prosta, ale spróbujemy przeanalizować, jak upadały kostki domina, doprowadzając świat zachodni do dnia dzisiejszego.

Preludium



Wojska radzieckie w Afganistanie³.

To co spróbuję opisać, przypomina wielki kłębek włóczki, poplątanych losów ludzi i zdarzeń. Gdyby jednak chwycić za koniec włókna, okaże się, że nic zaprowadzi nas do zimnowojennych zmagania między USA a ZSRR. Rok 1984, Afganistan i wojna z interweniującą Armią Czerwoną. To tam swoje pierwsze bojowe doświadczenia zdobywa Usama ibn Ladin (zwany powszechnie Osamą ben Ladenem), późniejszy przywódca terrorystycznej Al-Ka`idy. Współtworzy swoją pierwszą organizację (MAK), walczy z Rosjanami, otrzymuje pieniądze i wyszkolenie od CIA.

Po 1989 roku i wycofaniu się wojsk rosyjskich z Afganistanu, szuka nowych wyzwań. Zmienia MAK na Al-Ka'idę (po arabsku - *baza*), organizację mającą nie dopuścić do zbrojnych interwencji „krzyżowców” w krajach muzułmańskich. Wraca do rodzimej Arabii Saudyjskiej. Jako radykalny muzułmanin, dobrze czuje się w tym kontrolowanym przez wahabitów kraju. Tym większe jest jego oburzenie, gdy podczas kryzysu w Kuwejcie, reżim Saudów zamiast oprzeć się (co proponował) w polityce bezpieczeństwa na jego bojówkach, wybiera współpracę z USA. Amerykanie tworzą na świętej arabskiej ziemi swoje bazy

wojskowe, skąd wkrótce uderzają na Kuwejt i Irak. Tego dla pobożnego sunnity jest za wiele, wypowiada wojnę Saudom i USA. W ciągu kilku kolejnych lat, staje się *spiritus movens* wyjątkowo śmiałych zamachów (m.in. na okręt USS Cole, ambasady USA), by w końcu zadać ostateczny cios - 9/11. Zamachy na bliźniacze wieże Nowego Jorku i Pentagon 11 września 2001 roku, grzebią w gruzach blisko 3000 ofiar. Liczbę, która pozostanie niedoścignionym wzorem zła dla wszystkich terrorystów świata. Żaden z nich wcześniej, ani później, nie zabił tylu niewinnych cywili w jednym skoordynowanym ataku. To smutne życiowe memento szaleńca, stanie się początkiem prawdziwej i otwartej wojny świata szeroko rozumianej kultury zachodniej ze światem islamskim.



Moment uderzenia Boeinga 767 w drugą z bliźniaczych wież World Trade Center, NY 2001⁴.

Zachód drży i trzęsie się w posiadach, a my wiemy już, że nic nie będzie takie samo jak przedtem. Jest wściekłość i żal, oraz chęć odwetu. Najpierw mamy Afganistan i obalenie wspierającego Usamę ibn Ladina reżimu talibskiego. W 2002 roku dochodzi do zamachu na wyspie Bali. Ofiarą pada ponad dwustu turystów. Sprawcą ponownie jest Al-Ka'ida, tak jak i w zamachu na obywateli izraelskich w Mombasie, gdzie zamachowcom niemal udaje się zestrzelić pasażerski samolot. Ponieważ organizacja nadal stanowi zagrożenie (mimo zajęcia Afganistanu), władze USA przekonują kraje zachodnie do kolejnej wojny, interwencji zbrojnej w Iraku (2003). Po latach okaże się, że Saddam Husajn ani z Al-Ka'idą, ani z bronią masowego rażenia nie miał nic

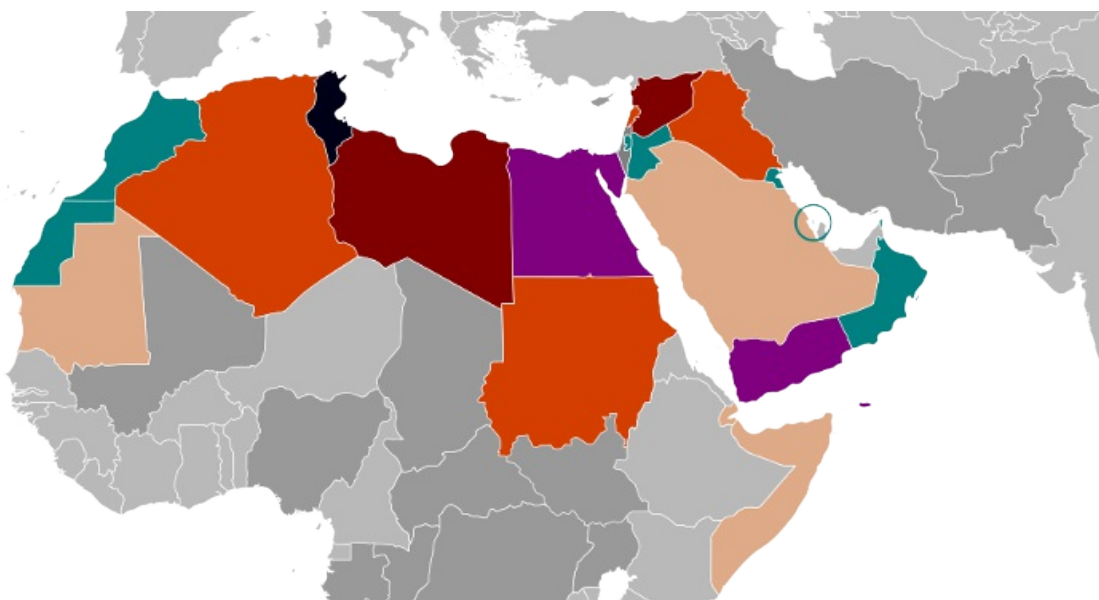
wspólnego, a chodziło głównie o wyrównanie rachunków z 1991 roku i poszerzenie strefy amerykańskich wpływów (czyli dokładnie to z czym Usama ibn Ladin poprzysiągł walczyć - ale to pozorna sprzeczność). Przez kolejne lata trwa trudna okupacja Iraku, przerywana co rusz powstaniem radykałów czy licznymi zamachami bombowymi. W 2004 roku, w ramach zemsty za udział Hiszpanii w wojnie, islamiści przeprowadzają ataki bombowe w pociągach w Madrycie (191 ofiar), a w następnym roku także w londyńskim metrze (52 zabitych - zemsta za udział Wielkiej Brytanii). Tego jest już za wiele dla zastraszonej Europy. Służby stają na palcach, rządy napinają muskuły i więzienia zapełniają się ekstremistami religijnymi, podczas gdy w Iraku następuje przesilenie i po stłumieniu powstań, względny spokój. Przez następnych siedem lat nie dochodzi do żadnego znaczącego zamachu na terytorium USA lub Unii Europejskiej. Irak, co prawda, nadal nie jest spokojny, ale udaje się stworzyć nowy stabilny rząd, wyszkolić i uzbroić nową armię. Podobnie w Afganistanie. Przyciśnięci przez wojsko i służby islamiści, skupiają się na walce właśnie w tych krajach, ponieważ gdzie indziej ich plany zostają zniweczone (np. w 2009 roku udaje się powstrzymać zamachowca przed zdetonowaniem bomby w samolocie lecącym z USA do Londynu). Wyjątkowo spektakularne zamachy zdarzają się wprawdzie w regionie, w Pakistanie czy Syrii, ale to Europejczyków nie martwi. Ważne, że nie u nas. Przyzwyczajamy się nawet do zaostrzonych przepisów na lotniskach, rozbierania się niemal do naga na bramkach czy braku możliwości zabrania jakiegokolwiek płynu powyżej 100ml na pokład samolotu. Mijają lata i wydaje się, że super terroryzm już się skończył, że jesteśmy bezpieczni. Mamy swoje własne problemy, zaczyna się kryzys gospodarczy, ludzie tracą pracę. Zmieniają się rządy, zmienia się też polityka międzynarodowa. Jesteśmy zmęczeni wojną. Bronimy praw osadzonych w Guantanamo. Przyznajemy, że interwencja w Iraku była oparta na fałszywych przesłankach. Chcemy mniejszej kontroli służb i większej otwartości na świat, szerzenia tolerancji i demokracji. A kiedy komandosi USA dopadają Usamę, a wojska koalicji opuszczają Irak, jesteśmy pewni, że teraz wszystko będzie już dobrze.

Narodziny kryzysu

Państwa arabskie, te z Maghrebu i Półwyspu Arabskiego, to delikatna, odrysowana linią przez europejskich kolonizatorów-dyletantów konstrukcja polityczna, która sklejona została dolarami i ropą. No, być może jeszcze śliną dyktatorów z domieszką krwi obywateli. Widać to zresztą doskonale na dowolnej mapie. W epoce ostatecznego upadku kolonializmu, a zaraz po II wojnie światowej, nikt nie miał głowy do zagłębiania się w religijne niuanse dzielące muzułmanów (dla nas zupełnie niezrozumiałe), które jeszcze nałożone na historie i relacje rodzinne pustynnych klanów dawały jakiś szalony galimatias powiązań i animozji. A jeździć po pustyni i wymierzać granicę od kamienia do zeschniętego krzaka już naprawdę nikomu się nie chciało. Tak powstał dzisiejszy świat arabski - doszczętnie podzielony i skonfliktowany wewnętrznie. Z początku próbowano w nim demokracji, ale po kilku wojnach, zamachach i niepokojach, złotym środkiem okazał się autorytaryzm. Operujący na *quasi* demokratycznych fundamentach dyktatorzy byli lepszymi partnerami w interesach. W dodatku, skutecznie utrzymywali (często krwawo) porządek w swoich państwach. To, z kolei, gwarantowało stałe dostawy ropy. Wszyscy byli zadowoleni. Do czasu.

Wróćmy do wiosny 2011 roku. Destabilizacja, jaką wprowadziły amerykańsko-europejskie interwencje w Iraku i Afganistanie, zachwiała delikatną konstrukcją, na jakiej opierał się arabski świat. Osłabła władza dyktatorów; z jednej strony umęczone wojnami i zamordyzmem (biedą, opresją, brakiem perspektyw) społeczeństwa arabskie zaczęły się burzyć, z drugiej rządy Zachodu przestały wspierać satrapów - tak politycznie, jak i finansowo. Zaczęło się od Tunezji, a później poszło już szybko - Algieria, Libia, Jordania, Oman, Mauretania, Sudan, Liban, Egipt, Syria, Jemen, Maroko, Somalia, ale pomniejsze protesty odbyły się też w innych krajach regionu. Arabowie powstali, europejskie społeczeństwa wpadły w zachwyty. Nareszcie wyciągniemy ich na wyższy poziom cywilizacyjny, będziemy braćmi w demokracji. Ludzie przestaną ginąć, odejdą opresyjni dyktatorzy i fundamentaliści, zapanuje pokój i dobrobyt. Nikt jednak nie brał pod uwagę tego, że społeczeństwa arabskie nie mają tradycji demokratycznych. To znaczy, eksperci cicho wspominali, że destabilizacja całego Bliskiego Wschodu to niekoniecznie dobra wiadomość dla nas, ale entuzjazm był niepowstrzymany. Media prześcigały się w kolejnych doniesieniach o protestach, upadających autokratach i festiwalu wolności. Zmienił się klimat, kości zostały rzucone i już nic nie było w stanie powstrzymać biegu wypadków. Wiedział to Husni Mubarak, prezydent Egiptu, który dobrowolnie ustępując ze stanowiska niemal

na pewno ocalił życie (i część majątku). Za to nie zrozumiał tego aż do końca Muammar al-Kaddafi, który próbą krwawego stłumienia libijskiego powstania przypieczętował swój los. Już po rozpoczęciu nalotów NATO, nie mógł się nadziwić (tej w jego odczuciu, zdradzie) i ostrzegał: bez moich rządów w Libii nikt nie powstrzyma napływu afrykańskich imigrantów do Europy. Dziwił się, ponieważ do tej pory zapraszany był na europejskie salony, a libijska ropa szerokim strumieniem płynęła do Włoch i układ taki panował od wielu lat m.in. po to, by utrzymać stabilność w regionie.



Arabska Wiosna, z podziałem na poszczególne kraje.⁵

W tym samym roku wybucha wojna domowa w Syrii i Zachód znów postanawia wesprzeć rebeliantów. Podobnie jednak jak w Libii, nie do końca orientuje się kogo tak w zasadzie wspiera, a okazuje się często, że to ludzie byłego reżimu Saddama Husajna, Al-Ka'ida oraz sympatyzujące z nią bojówki islamistyczne. Egipt ma więcej szczęścia, ponieważ dysponuje bardzo silną armią, która gotowa jest stać na straży świeckości państwa, tym bardziej że władzę przejmuje fundamentalistyczne Bractwo Muzułmańskie. Ironią jest natomiast, że interwencja armii niweczy pierwsze demokratyczne wybory Egiptu, a przecież to o demokrację chodziło w rewolucji. Przewrót ten nastąpił za zgodą Amerykanów, przerażonych wizją islamizacji Kairu. Powstały w państwach arabskich chaos trwa jeszcze długo, ale na to by z bitewnego kurzu wynurzyły się jakieś zarysy nowej rzeczywistości, trzeba czekać jedynie dwa lata. Tymczasem Europa jakby zastygła w oczekiwaniu. Nieśmiało reaguje na pierwszą falę uchodźców z Maghrebu, trochę się niepokoi, gdy w drugim rzucie (zwłaszcza przez Libię) są to imigranci z Afryki subsaharyjskiej. Nadal razem z Amerykanami wspiera rebeliantów w Syrii, mimo że coraz więcej jest

informacji o przechodzeniu dozbrajanych grup na stronę islamistów. Nagrodzony pokojowym Noblem prezydent Barack Obama kończy okupację Iraku i przygotowuje się do wyprowadzenia wojsk z Afganistanu. Wszyscy liczą, że jakoś to będzie i region sam dźwignie się z chaosu, powstając jako stabilny i demokratyczny związek państw. Zajęci zażegnaniem kryzysu ekonomicznego, sporami o to, ile pożyczyć Portugalii, Hiszpanii, Grecji i Włochom, nie dostrzegamy lub nie chcemy dostrzec rodzących się tuż za granicą niebezpieczeństw. Być może nasza optyka i czujność stępiona jest przez fakt, że to właśnie południe Europy tradycyjnie patrzyło na sąsiadów zza Morza Śródziemnego, a teraz oczy zwróciło na własne podwórka. Tymczasem wiosna ludów arabskich w wielu krajach nie przynosi spokoju i wyzwolenia, a wręcz przeciwnie. Libia i Syria, pogrążone w wojnach domowych, destabilizują cały region (np. Al-Ka'ida przemycza ogromne ilości broni z Libii do Mali, a Liban pogrąża się w krwawych walkach między przeciwnikami i poplecznikami Assada), tym bardziej że niespokojnie jest też w Iraku, Afganistanie i Pakistanie, a tradycyjnie mało stabilna Afryka nie daje wsparcia próbom ograniczenia rozlewających się wpływów islamskiego fundamentalizmu.

Europa śpi, lecz już wkrótce czeka ją bolesna pobudka.

Przebudzenie wojną

Zachód budzi się dopiero w 2013 roku, a w zasadzie otwiera jedno zaspane oko. Zamach podczas maratonu w Bostonie, uświadamia amerykańskiemu społeczeństwu, że nie wszystko idzie tak gładko na Bliskim Wschodzie, jak przedstawiają to władze. Tysiące poległych i rannych żołnierzy, dziesiątki tysięcy ofiar wśród cywilów, wiele lat okupacji i miliardy wydanych dolarów nie zapewniły pokoju w Iraku. Już w rok po wycofaniu się amerykańskich wojsk wybuchają właśnie religijne, a gdy w Bostonie wybuchają bomby, kraj chwieje się i tylko interwencja Amerykanów ratuje irackie władze od upadku.

Przyczyną jest powstanie Państwa Islamskiego w Iraku (tzw. ISIS), późniejszego Państwa Islamskiego w Iraku i Lewancie (ISIL). Z początku, grupa ta jest raczej niedoceniana i rozmywa się wśród wielu innych walczących w Syrii i na irackiej granicy. Jedną z przyczyn takiego jej traktowania, jest to, że Państwo Islamskie istniało już w 2006 roku i było organizacją prężnie działającą w Iraku (liczne zamachy, porwania, morderstwa), ale niemal zupełnie rozbitą w latach 2008-2009. Ostatecznie, załamanie przyszło po śmierci jej przywódcy w 2010 roku. Gdyby nie wybuch wojny domowej w Syrii, być może na tym zakończyła by się jej kariera. Tymczasem w syryjskich warunkach ISIS mogła się przegrupować i odbudować wpływy tu, gdzie nie sięgała władza amerykańskich służb. W 2013 roku okazało się, że ISIL jest jedną z wiodących stron konfliktu syryjskiego i to mimo wypowiedzenia wojny wszystkim innym, nawet islamistycznym grupom (Al-Ka'ida, an-Nusra). Ich radykalizm, niespotykane okrucieństwo i bezwzględność, budziły sprzeciw nawet bogobożnych muzułmanów. Po raz pierwszy od dawna ktoś odważył się dokonać czystek etnicznych i religijnych. Ginęli jazydzi, alawici, chrześcijanie i nawet umiarkowani sunnici. ISIL wprowadziła wojnę totalną, nie tyle nastawioną na zastraszenie i pokonanie przeciwnika, ile na jego całkowitą fizyczną eliminację. Sukcesy, jakie osiągają, terytoria, jakie zajmują i ideologia, jaką prezentują przeciągają na ich stronę coraz to nowe grupy bojowników (razem ze sprzętem dostarczonym tym niedawnym „opozycjonistom” przez Amerykanów). Co gorsza, zajęte szyby naftowe, porwania, wymuszenia i rabunek dzieł sztuki (w tym zabytków) sprawiają, że organizacja zyskuje ogromne wpływy finansowe. Wystarczające, by zacząć konsolidować świat islamskich fundamentalistów w jedną organizację, w jedną ideę - Islamski Kalifat.



Zasięg terytorium Państwa Islamskiego w październiku 2015 roku.⁶

Ten jako terytorium proklamowany zostaje 29 czerwca 2014 roku. W zachodnich mediach słyhać głoŝy, że to jedynie pobożne życzenia islamistów, a powołanie jakiegoś tam państwa w tych warunkach jest zupełnie niemożliwe. Co prawda, zarówno Amerykanie, jak i przywódcy krajów takich jak Francja, Włochy czy Wielka Brytania zaczynają dostrzegać problem jeszcze w styczniu, ale na przeszkodzie stają wcześniejsze wydarzenia na Ukrainie. Majdan, rewolucja, zajęcie Krymu, a wreszcie wojna w Donbasie. Nagle, uderzenie przychodzi z zupełnie nieoczekiwanej przez Europę strony i naprawdę boli. Powojenny porządek granic, fundament pokoju europejskiego, zostaje zachwiany przez cynicznie działającą Rosję. Negocjacje, sankcje, embarga, rozbicie europejskiej solidarności, to wszystko bardzo spowalnia decyzyjność i utrudnia koordynację działań przeciw ISIL. Europa nie jest gotowa na wojnę z Rosją, ponieważ przez lata pokoju sama siebie rozbroiła. Prawdziwym i ostatecznym przebudzeniem zachodnich decydentów jest ofensywa islamistów w Iraku. Pierwsze prowincje padają już na początku roku, ale do czerwca sytuacja zupełnie wymyka się spod kontroli. Świetnie wyposażona ale zdemoralizowana iracka armia ucieka w popłochu, siły porządkowe ulegają dezintegracji, a cały sprzęt przechodzi w ręce islamistów (łącznie z ciężkim, pojazdami Humvee czy czołgami M1A1 Abrams). Siły ISIL stają na przedmieściach Bagdadu i pojawia się realne zagrożenie utraty stolicy,

a z nią rozpad kraju. Totalnej klęsce zapobiega interwencja Iranu (tradycyjnego wroga Iraku) i Kurdów oraz szyickich milicji, których oddziały wstrzymują islamską ofensywę i odbijają niektóre z miast (m.in. zapobiegają wysadzeniu tamy pod Mosulem). Państwo Islamskie poszerza swoje wpływy także w Syrii i Kurdystanie, próbuje eksportować wojnę do Libanu, Jordanii i Turcji. Rośnie fala terroru niespotykanych proporcji. Ludzie są ścinani mieczami, topieni, grzebani żywcem lub spalani w klatkach. Mordowane są całe wioski i dzielnice. Amerykanie rozpoczynają bombardowania Państwa Islamskiego w sierpniu 2014 roku ale ich efektywność pozostawia wiele do życzenia. Głównym hamulcowym bardziej zdecydowanych działań okazuje się prezydent Barack Obama, który nie chce angażować USA w nową wojnę. Zamiast tego szkoli i wyposaża kolejnych rebeliantów do walki z ISIS, którzy niedługo potem przechodzą na stronę fundamentalistów. Tak jak siedemdziesiąt lat wcześniej, decydenci nie rozumieją świata muzułmańskiego i nie potrafią rozeznaczyć się w jego skomplikowanych zależnościach klanowo-religijnych. W samej Syrii, upadający reżim Baszara al-Assada wspierany jest przez Rosję i Iran czy fundamentalistyczny Hezbollah. Z kolei członek NATO - Turcja potajemnie wspiera Państwo Islamskie przeciw swoim zajadłym wrogom - Kurdom, jedynej ostoi normalności w regionie. Chaos jest więc totalny, a Kalifat trwa w najlepsze, rozlewając wojnę i ideologię na kolejne, nawet odległe regiony (Libia, Mali, Czad, Kenia, Egipt, Jemen), a ma ku temu wszelkie środki i możliwości.

Powrót superterroryzmu

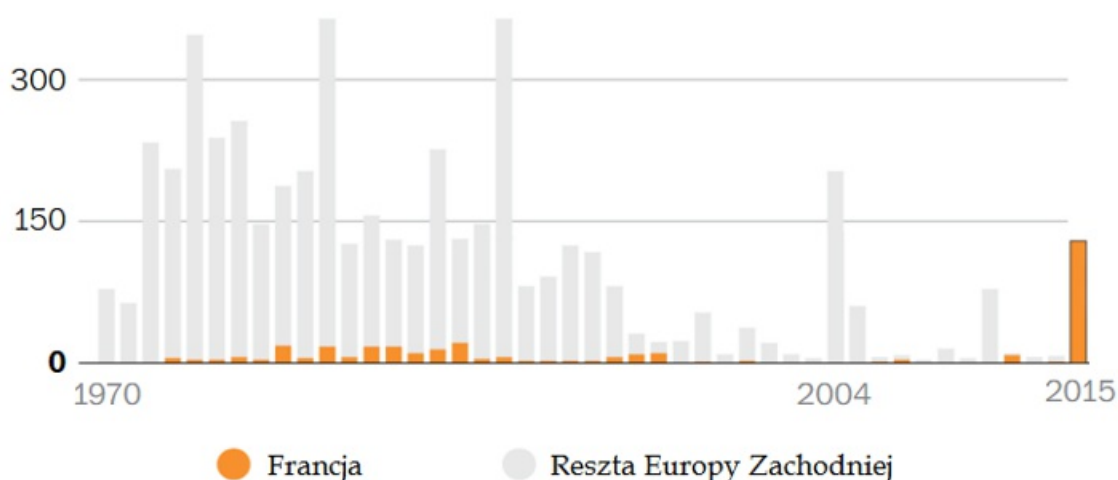
Z początkiem 2015 roku Bliski Wschód wręcz kipi. Europa niekoniecznie to dostrzega, ponieważ jej oczy zwrócone są na rewoltującą Grecję i płonąca Ukrainę. Wkrótce jednak narastająca fala syryjskich uchodźców zmusza Unię do reakcji. W pierwszych dniach stycznia dochodzi do ataku na redakcję magazynu „Charlie Hebdo” w Paryżu, następnie na koszerne delikatesy (łącznie 20 zabitych), a reakcją jest oburzenie świata zachodniego. W powszechnym społecznym odczuciu, właściwa odpowiedź na ekstremizm i brak tolerancji to wynikająca z chrześcijańskiej kultury miłość do bliźniego. Naturalnym jest, by wszystkich szukających schronienia przed ekstremizmem ludzi wpuścić do Unii, oferując pomoc. Ukoronowaniem tego podejścia jest jednostronna deklaracja kanclerz Angeli Merkel w stosunku do uchodźców - „Przyjeżdżajcie, przyjmimy wszystkich” (*„Tensions Germany rise amid flood asylum seekers”* [DailyMail](#), 14.11.2015).

W międzyczasie przez świat zaczyna się przetaczać fala bardzo krwawych wydarzeń. Jeszcze w styczniu islamistyczne bojówki Boko Haram mordują ludność północnej Nigerii (ok. 2000 ofiar), dokonują porwań (głównie dziewczynek) i zamachów. Luty to dwa zamachy w Kopenhadze (pięciu zabitych, trzech rannych). W marcu ofiarą fundamentalistów stają się zachodni turyści w Tunezji (19 zabitych, 11 rannych) i modlący się szyici w Sanie (Jemen - 137 zabitych ponad 500 rannych). W kwietniu islamistyczny Asz-Szabab, napada na uniwersytet w Kenii, zabijając 157 niemuzułmańskich studentów, raniąc 80. Maj to strzelanina w amerykańskim Garland, w galerii wystawiającej karykatury Mahometa. Czerwiec to kolejny cios w Tunezję, celem są znowu turyści - na plażach ginie 39 osób, drugie tyle jest rannych. W Kuwejcie bomba wybucha w szyickim meczecie, zabijając 26 modlących się, a raniąc 200. Do kolejnego zamachu dochodzi też we Francji (jeden zabity, dwoje rannych). Lipiec to z kolei początek destabilizacji Turcji - zamach w Suruç (33 zabitych, 104 rannych). Boko-haram atakuje w Nigerii i Kamerunie (łącznie 39 zabitych, 109 rannych). W sierpniu najbardziej przebiega się w mediach udaremniiony atak we francuskim pociągu TGV (zamachowiec zostaje rozbrojony przez pasażerów). We wrześniu najwięcej ataków ma miejsce w Kamerunie, Nigerii i Nigrze, łącznie ofiarami stają się niemal 190 zabitych i dwa razy tyle rannych. W październiku, ataki nadal trwają w Kamerunie, Nigerii i Nigrze (łącznie 153 ofiar śmiertelnych, drugie tyle rannych), ale dołącza też do tej smutnej listy Czad (38 zabitych) oraz Bangladesz (dwoje zabitych, setki rannych) - w tym ostatnim ofiarą są miejscowi szyici. Najbardziej dramatyczny jest jednak zamach bombowy podczas marszu w Ankarze, który uśmierca 102 osoby, a ponad 500 rani. Nie można też pominąć

prawdopodobnego strącenia rosyjskiego samolotu pasażerskiego nad półwyspem Synaj (224 ofiary).

Dochodzimy do listopada i tragicznych wydarzeń z Paryża skoordynowanego ataku islamistów na Stadion Narodowy, klub Bataclan i lokalne restauracje. Zginęło 137 osób, zaś ponad 350 zostało rannych. A przecież dzień wcześniej krew spłynęła ulicami Bejrutu, gdzie w wyjątkowo perfidnym ataku zginęły 34 osoby (ponad 240 rannych). Najpierw w tłumie wysadził się rowerzysta, a kiedy ludzie zebrali się, by pomóc rannym, eksplodowała druga bomba.

Łączny bilans powyższych wydarzeń to ponad 3330 zabitych i kilka tysięcy rannych (!). A nie liczyłem krajów ogarniętych wojną (także Ukrainy). To tyle samo co w roku 2014 łącznie na całym świecie (wliczając Irak, Syrię, Ukrainę i Afganistan). Jeśli liczyć tylko samą Europę (bez Rosji i Breivika w Norwegii), to najwięcej od 2005 roku („2015 r. będzie najtragiczniejszy od dekady” - [Datablog](#), 20.11.2015).



Wykres przedstawiający liczbę śmiertelnych ofiar zamachów w Europie⁷.

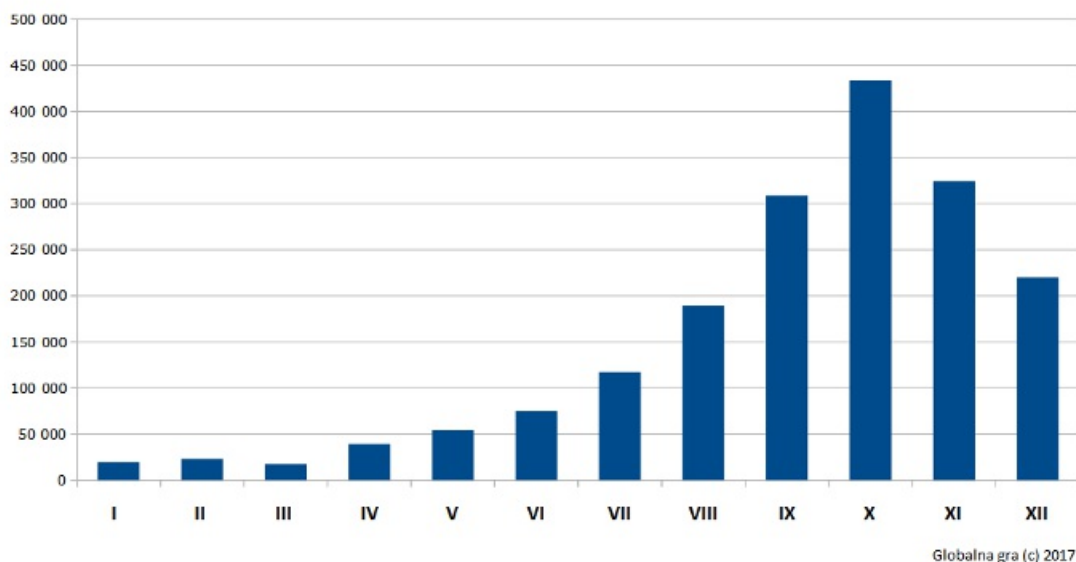
W tym samym roku nasiliły się ataki w Iraku, Afganistanie i Pakistanie - gdyby je dodać, ofiar byłoby znacznie, znacznie więcej. Być może ciężko w to uwierzyć, ale wszystkie odpowiedzialne za wymienione ataki organizacje są w mniejszych lub większym stopniu związane z Państwem Islamskim. Można to łatwo sprawdzić zapoznając się z oficjalnymi statystykami (*List of terrorist incidents* - [Wikipedia](#)).

Oczywiście, liczbę zawyżają masakry w północnej Nigerii, ale dane te, w związku z trudnościami w weryfikacji (rozzrzucone na dużym terytorium wioski, brak infrastruktury), są raczej niedoszacowane niż zawyżone. Jakby jednak nie

liczyć, w poprzednich latach nie było żadnych zamachów w Europie.

Czy można się więc dziwić, szaleńczej fali imigracji zalewającej nasz kontynent? Nie, to naturalne, że dotknięci niespotykanym terrorem ludzie szukają bezpiecznego schronienia. Na tym polegał też zamysł terrorystów. Myślę też, że nie ma sensu zaprzeczanie, iż fala nieregulowanej w żaden sposób imigracji przyczyniła się do wzrostu liczby i efektywności zamachów na terenie Europy. Lekkomysłne, wydane do wszystkich aktualnych i przyszłych imigrantów zaproszenie kanclerz Angeli Merkel stało w bezpośredniej sprzeczności z unijnym prawem i procedurami, mówiącymi, iż każdy ma prawo ubiegać się o azyl, ale nie każdy może go otrzymać, a na pewno nikt, kto nie przeszedł odpowiednich procedur.

O status uchodźcy należy poprosić w pierwszym kraju UE, do jakiego się trafia. Uruchomione zostają procedury, następuje weryfikacja przybyłej osoby i wedle kryteriów, uchodźca otrzymuje azyl, pozwolenie na pobyt czasowy, lub zostaje odesłany (dotyczy to imigrantów ekonomicznych, przestępców, bądź osób stanowiących zagrożenie terrorystyczne). Co ważne, procedury nie można już później powtórzyć w żadnym innym kraju UE. Tak mówi ratyfikowana przez wszystkie kraje UE - [konwencja dublińska](#) (obecnie nr 3).



Liczba imigrantów przybywających do Europy w ujęciu miesięcznym w 2015⁸.

Fatalna deklaracja pani Merkel zaostriżyła i tak już bardzo poważny kryzys imigracyjny. Setki tysięcy uchodźców nie tylko w sposób zupełnie niekontrolowany znalazło się na terytorium Unii Europejskiej (głównie przez Grecję i Włochy), ale rozpoczęło entuzjastyczną wędrówkę w jej głąb. Żadna z europejskich czy narodowych służb nie była w stanie opanować tego żywiołu

(już wcześniej weryfikację prowadzono po łebkach). Przecież dzięki strefie Schengen nie istnieją granice wewnętrzne, a policja czy straż graniczna dysponuje zbyt skromnymi siłami, by zatrzymać ten nieprzerwany pochód, swoistą wędrówkę ludów.

Żebyśmy mieli jasność, do chwili deklaracji kanclerz uchodźcy w dużej mierze przebywali na terytorium państw granicznych (w obozach, ośrodkach itd.). Do tego momentu (od stycznia do początku września 2015) przybyło ich do Europy ogółem ponad 532 tys (źródło: [Eurostat](#)). Natomiast po wystosowaniu zaproszenia, w miesiącach od września do grudnia liczba imigrantów wyniosła ponad 1 mln 200 tys. Czyli łącznie do Europy w 2015 roku różnymi drogami przybyło ponad 1 mln 800 tys. imigrantów, przy czym zaniechano wobec nich przeprowadzania procedur weryfikacyjnych (*Migratory Routes Map* - [Frontex](#)).



Strajkujący imigranci na dworcu Keleti w Budapeszcie, rok 2015⁹.

Niemcy, jako hegemon wspólnoty, narzuciły ton, a przerażone skalą zjawiska państwa graniczne skwapliwie skorzystały z okazji. Nie mogąc w żaden sposób sprawnie przeprowadzić wymaganych prawem procedur, zaczęły przepuszczać uchodźców dalej (celem większości imigrantów był RFN). Takie działanie miało choć minimalnie rozładować sytuację, a uchodźców miały zweryfikować po drodze pozostałe państwa członkowskie. Decyzja ta była lekkomyślna, jak

pokazują zdarzenia 13 listopada (przynajmniej dwóch zamachowców przybyło do Europy jako uchodźcy). Na obronę Włoch czy Grecji trzeba powiedzieć, że państwa te nie otrzymały wystarczającej pomocy w radzeniu sobie z kryzysem od pozostałych członków i to pomimo wielokrotnych apeli. Koniec końców, skala zjawiska przerosła wszystkich, a najbardziej unijną biurokrację.

W tym miejscu chciałbym jasno zaznaczyć, że nie jest winą imigrantów, to, że wśród nich przez nikogo nie niepokojeni przemknęli członkowie Państwa Islamskiego, an-Nusry czy innych organizacji terrorystycznych. Wielu uchodźców to faktycznie ludzie uciekający przed wojną, niewyobrażalnymi prześladowaniami i śmiercią. Winni im jesteśmy pomoc. Bez wątpienia jednak nawet połowa z ogromnej fali 2015 roku nie była pochodzenia syryjskiego. Według danych Frontexu, oficjalnie od stycznia do grudnia 2015 zarejestrowano ok. 594 tyś uchodźców z syryjskim paszportem (spośród całkowitej liczby 1,8 mln). Okazuje się, że bardzo wielu imigrantów pochodzi z krajów Europy spoza UE (!) - Albanii, Macedonii, Serbii, a dopiero daleko w tyle są uciekinierzy z Erytrei, Afganistanu i Iraku. Nie zmienia to faktu, że na skutek przejścia przez islamistów krajowej wytwórni dokumentów, syryjski paszport można było bez problemu kupić na czarnym rynku za kwotę 200 euro. Realna skala syryjskiej imigracji okazała się znacznie mniejsza, a procent imigrantów o innym pochodzeniu i celu wędrówki (np. ekonomicznych), znacznie wyższy. Sam przerzut organizowany był ponoć przez albańską mafię, ale kto wie czy nie bez pomocy tureckich służb specjalnych. Bo to, że za pozwoleniem Ankar, setki przemytniczych łodzi wypełnionych uchodźcami przemierzyło Morze Egejskie jest oczywiste. Gdy tylko Erdogan wynegocjował porozumienie z Unią Europejską, napływ imigrantów został czterokrotnie zmniejszony (do ok. 500 tyś. przybywających w 2016 roku).

Wielki plan

Pora postawić pytanie, o co w tym wszystkim chodzi? Mamy planszę, a na niej już wszystkie rozrzucone luźno klocki. Teraz trzeba tylko całość poskładać, by zobaczyć rzeczywisty obraz. Nitkę chwyconą w 1984 roku przeprowadziliśmy przez przeszło 30 lat historycznych zawirowań. Od młodego ibn Ladina, do wojen w Iraku, Afganistanie i Syrii, powstania na gruncie Al-Ka'idy, Państwa Islamskiego i rozprzestrzenianiu się fundamentalistycznej ideologii w całym świecie arabskim. Al-Ka'ida nie skończyła swej działalności razem ze śmiercią Usamy. Od początku była to organizacja oparta na niezależnych komórkach, przygotowująca grunt i struktury pod ideę, dalece wykraczającą poza doraźne wysadzenie się samobójcy w jakimś pociągu czy samolocie. Jednym z głównych jej ideologów był Abu Musab al-Zarqawi, człowiek, którego ucieczka do Iraku w 2001 roku (z Afganistanu) stała się jedną z przyczyn przeprowadzenia inwazji przez wojska koalicji w dwa lata później. Jego *idee fix* było ustanowienie światowego Kalifatu. A doprowadzić do tego miał plan skrótowo zawarty w siedmiu punktach.

W 2005 roku, niejaki Fouad Hussein, jordański dziennikarz, wydał w języku arabskim książkę pt. *"Al-Zarqawi: The Second Generation of Al Qaeda"* (tłum. „Al-Zarqawi: Drugie Pokolenie Al-Ka'idy”). Zrządzeniem losu, Hussein siedział w jednej celi jordańskiego więzienia z głównym ideologiem Al-Ka'idy jeszcze zanim ta przeprowadziła swój najślawniejszy dotąd atak w Nowym Jorku. Tak wyrobione znajomości pomogły mu później w zrozumieniu i poznaniu tej organizacji. Książka została przyjęta sceptycznie na Zachodzie chociaż wywołała sporo medialnego szumu. Mówiło się o celowej dezinformacji, szerzeniu propagandy przez autora, chociaż jednocześnie bardzo skrupulatnie opisywano ideę siedmiu punktów. Trudno więc mówić o teoriach spiskowych i jeśli poczujesz się, drogi Czytelniku, zaskoczony poniższą treścią, to tylko dlatego, że w Polsce temat został niemal zupełnie pominięty. Jeśli zaś chodzi o prasę zagraniczną, jej podejście najlepiej obrazuje [artykuł¹⁰](#) z niemieckiego Spiegel'a z 12 sierpnia 2005 roku. Autor wyśmiewa w nim część postawionych przez Husseina tez, nazywając je zupełnie absurdalnymi. Pan Jassin Mubarash (autor), pisze o tych tezach tak:

„...i nie wspomnę nawet, że cały ten plan terrorystów jest po prostu niemożliwy do wykonania: pomysł, jakoby al-Ka`ida miała ustanowić Kalifat w całym świecie arabskim to absurd. Cały ten dwudziestoletni plan wypływa głównie z idei religijnych. Niemal zupełnie nie opiera się na rzeczywistości, zwłaszcza punkty od czwartego do siódmego.”¹¹

Poniżej przedstawiam te zlekceważone wtedy założenia.

Koniec fragmentu. Jeśli chcesz się dowiedzieć więcej, kup książkę.

Pełne wydanie książki do nabycia w księgarniach online.

Globalna gra (c) 2017 Filip Dąb-Mirowski